

ZDZIEJÓW CZESKIEJ EMIGRACJI WYZNANIOWEJ

Prof. dr Edita Štěřiková

Referat wygłoszony 16.czerwca 1996 roku
na Światowym Zjeździe Zelowian w Zelowie

Nawet dzisiaj, w dwudziestym wieku, emigracja nie jest dla nas - niestety - pojęciem całkowicie obcym. Ludzie uciekają ze strachu przed nieprzyjacielem. Ze strachu, że im i ich rodzinom mogłaby się stać krzywda grożąca uszkodzeniem ciała, a nawet utratą życia. Strach przed bólem, przed utratą najbliższych, przed śmiercią. Taki strach potrafi wygnać ludzi z ich domostw. Odejście z pustymi rękami w nieznaną, gdzie nikt na człowieka nie czeka, gdzie nikt go nie zna, gdzie nawet nie potrafi się porozumieć, jest niewyobrażalnie ryzykowne. Ludzie, oprócz ryzykantów, oczywiście takich sytuacji unikają.

Liczni czescy uchodźcy opuszczali swoje strony rodzinne nieoczekiwanie i w sposób niezaplanowany - ze strachu przed karą na skutek donosu, że przechowują zakazane księgi, że uczestniczą w niekatolickich spotkaniach itp. Większość jednak decydowała się na emigrację długo i ciężko, z pełną świadomością wszystkich następstw.

W przyszłym roku będziemy wspominać pierwszą większą czeską emigrację wyznaniową. W 1547 roku czeski król Ferdynand odnowił tzw. mandat świetojakubski zakazujący rozprowadzania publikacji i działalności ich duchownych; w maju 1548 roku król wezwał wszystkich poddanych w dobrach królewskich, uważających się za członków Jednoty Braterskiej, żeby się przystosowali do kościoła katolickiego lub do utrakwistów albo opuścili kraj. Liczni z tych, których to dotyczyło, mieli nadzieję, że sytuacja uspokoi się i że żądania w stosunku do nich ograniczą się do formalnej przynależności do kościoła utrakwistów. Inni odmówili podporządkowania się z obawy przed pokusą udawania i kłamstwa, ze strachu przed grzechem. Decydowali się raczej na wygnanie. Latem 1548 roku setki braci i sióstr, zrzuconych i pozbawionych swojej ojcowizny, odeszło na obczyznę. Znaczna ich część wędrowała przez Polskę do Prus. Niektórzy z nich zostali w Polsce. W tym czasie w Poznaniu i w Toruniu powstały pierwsze zbory braterskie. Oczywiście i tutaj w pierwszych latach pobytu Bracia musieli być bardzo ostrożni: spotykali się potajemnie, uszczelniali okna i drzwi, aby ich przytłumionego śpiewu nie było słychać na zewnątrz. Kiedy jednak w osobie pana Jakuba z Ostroroga znaleźli swojego pierwszego protektora, ich sytuacja poprawiła się i do dwu pierwszych zborów dołączyły następne. Między innymi powstał wtedy również niemiecki zbor braterski w Lesznie. Duchowym doradcą emigrantów, kaznodzieją i administratorem polskich zborów był Brat Jerzy Izrael, który w 1557 roku został również pierwszym seniorem polskiej gałęzi Jednoty Braterskiej. Jerzy Izrael stanął przy kolebce polskiej reformacji. Jego wskazania i rady były oczekiwane przede wszystkim w Małopolsce, gdzie powstawały pierwsze zbory polskiego kościoła reformowanego. Bracia starali się być pośrednikami pomiędzy oboma występującymi w Polsce nurtami reformacji - luteraniskim i kalwińskim. Pierwsi czescy wygnańcy znaleźli w Polsce nie tylko swoją nową ojczyznę, ale także swoje zadania. Jerzy Izrael, ich senior, jest zaliczany do grona pierwszoplanowych postaci czeskiej i polskiej historii reformacji. Kiedyś w Aktach Jednoty Braterskiej czytałam o jednym wydarzeniu z ostatnich dni życia Jerzego. Jego prosta, w sposób niemal dziecinny oczywista, wiara w boską pomoc zrobiła na mnie głębokie wrażenie.

Druga emigracja wyznaniowa nastąpiła po bitwie pod Białą Górą, zwłaszcza po wygnaniu niekatolickiej szlachty w roku 1627. Tysiące niekatolików z Czech i Moraw udało się na emigrację.

Bracia Czeszy pertraktowali w 1625 roku w Polsce o możliwościach schronienia się tutaj w przypadku konieczności masowej emigracji. Sytuacja w Polsce nie była najlepsza, lecz emigracja do Polski miała już wśród Braci swoją tradycję; Bracia mieli wśród szlachty swoich protektorów, a polskie zbory braterskie stanowiły dla nich dobre punkty oparcia. I rzeczywiście duża część braterskich wygnańców przybyła tutaj.

Członkowie Jednoty Braterskiej emigrowali również na Węgry, a niektórzy z nich, podobnie jak większość pozostałych niekatolików, wybierali najkrótszą drogę do Łużyc i do Saksonii. Ci, którzy mogli lub byli do tego zmuszeni, wędrowali dalej we wszystkich kierunkach.

W Polsce nowy ośrodek emigracyjny powstał w Lesznie, gdzie obok braterskich zborów niemieckiego i polskiego powstał zasługujący na uwagę zbor czeski. Przecież to w nim działał braterski nauczyciel, kaznodzieja i biskup Jan Amos Komeński. Seniorem Jednoty wybrano go w roku 1632 na synodzie w Lesznie. Dwa lata później polska Jednota Braterska połączyła się z małopolskim i litewskim kościołem reformowanym. Komeński brał również udział w rokowaniach poprzedzających połączenie. Jednakże Jednota miała również swoje problemy. Wypierani z Ostroroga polscy Bracia przenieśli swoje władze do Leszna.

Wojna trzydziestoletnia spustoszyła Europę. Nadzieje czeskich wygnańców na powrót do ojczyzny zostały zniweczone. Ponadto wkrótce w Polsce rozgorzała wojna ze Szwecją, podczas której spłonęło Leszno. Wprawdzie po pożarze Czesi wrócili do Leszna, lecz w znacznie mniejszej liczbie. Z czasem zrosli się ze zbojem polskim. Ostatni raz kazano w Lesznie po czesku w roku 1700. Jednakże miasto to dalej było ośrodkiem Jednoty, a w późniejszych dziejach czeskiej emigracji znajdujemy ciągle nowe nici prowadzące do Leszna.

W drugiej połowie 17 wieku emigracja z Czech do Polski ustała. Polskim ewangelikom ciężko doskwierał ucisk ze strony wpływowej katolickiej większości. Nie ustawały również wewnętrzne spory wśród polskiej szlachty i niekończące się walki o polską koronę, które w następnym stuleciu doprowadziły do obcej przemocy i rozbiorów Polski pomiędzy silnych sąsiadów.

Emigracja czeskich niekatolików po bitwie pod Białą Górą nie miała końca. Historycy słusznie mówią o kilku falach tej emigracji. Równie pełnoprawne jest pojęcie „emigracji permanentnej”, które powtarza się w aktach urzędów we Wiedniu.

Gwałtowna rekatolizacja ziem czeskich stawiała kolejne pokolenia „pismaków” (czytelników i znawców Pisma Świętego) przed zawsze tym samym zasadniczym problemem egzystencji: czy jest możliwe, aby ten, kto chce żyć zgodnie z wolą Bożą, wyrzekł się Biblii i żył w zakłamaniu udając, że nawrócił się na wiarę katolicką? Tradycje husycka, utrakwistyczna i braterska w miarę upływu czasu i przekazywania z pokolenia na pokolenie zrastały się. Różnice i sprzeczności między utrakwistami i Braciami Czeskimi ulegały zatarciu. Zakazana Biblia znajdowała się w centrum uwagi.

Wrażliwe sumienia czeskich i morawskich „pismaków” pobudzała także ewangelicka literatura drukowana zagranicą i wbrew wszelkim zakazom i surowym karom nieustannie na ziemiach czeskich rozprowadzana. Pod tym względem - obok innych wydawców, jak znany Václav Kleych w Żytawie - bardzo czynni byli pietyści w Halle. Pastor i profesor August Hermann Francke założył tam w roku 1695 sierociniec i szkołę dla niezamożnych dzieci. Jego zdolności pedagogiczne i organizacyjne były godne uwagi, a Pan Bóg błogosławił jego pracy. Sierociniec i szkoła rozwinęły się w zakład o dużej renomie. Również szlachta powierzała mu kształcenie swoich synów. Chłopców niezamożnym, którzy tutaj znaleźli swój dom, umożliwiał Francke kontynuowanie nauki na uniwersytecie. Przyjmowali oni pewne obowiązki w zakładzie pokrywając w ten sposób koszty zamieszkania i utrzymania. Obok innych przedsięwzięć, do

zakładu należało również wydawnictwo, w którym wkrótce zaczęto drukować czeskie książki. W roku 1709 kolportowano stamtąd czeski Nowy Testament. W roku 1718 działała w Halle grupa tłumaczy rozwijająca szczególnie gorliwą działalność. Należeli do niej: Niemiec Heinrich Milde, który nauczył się języka czeskiego i sam przedsięwziął jako kaznodzieja co najmniej dwie podróże do Czech. Mówiono o nim, że jest żywą „konkordancją biblijną”. Maciej Maček, pochodzący ze wschodnich Czech, był „żywym słownikiem”, a Jan Krieger z Cieszyna zasłużył sobie na przydomek „żywa gramatyka”. Jerzy Sargánek, również z ziemi cieszyńskiej, szczególne zasługi zyskał dzięki swoim wieloletnim staraniom o druk czeskich książek. Andrzej Macher i Jan Libera także do tej grupy należeli. Obaj byli mówiącymi po polsku Ślązakami. W wydawnictwie w Halle nie pracowali długo, natomiast wykazali swoją przydatność jako kaznodzieje. W Halle wychowywał się także hrabia Ludwik Zinzendorf, w którego łużyckich dobrach Bracia Morawscy założyli w roku 1722 Herrnhut.

Łużyce - przez niecałe 20 lat w pierwszej połowie 18 wieku - były najczęstszym celem czeskich wygnańców. Herrnhut w dobrach Zinzendorfa i niedaleki Hennersdorf w dobrach jego ciotki Henryki z Gersdorfu, a później także Gerlachsheim na samej czeskiej granicy były dla czeskich wygnańców atrakcyjne. Znajdowały się pod władzą protestanckiego zwierzchnika, u którego czescy niekatolicy mieli nadzieję znaleźć zrozumienie. Pani Henryka zadała sobie trud, by znaleźć dla Czechów odpowiedniego kaznodzieję. Janowi Liberdzie, poleconemu przez jej przyjaciół z Halle, wyznaczyła nawet skromną płacę ze swojej szkatuły. Pan na Gerlachsheimie wprawdzie nie miał zamiaru czeskiemu kaznodziei płacić, ale był gotów tolerować go. Imiona obu czeskich kaznodziejów, Jana Liberdy i Augustyna Schultza, wśród czeskich niekatolików w drugiej połowie lat dwudziestych 18 wieku przekazywano z ust do ust. Obaj byli Ślązakami i na początku lepiej mówili po polsku niż po czesku. Obu ukształtowali pietyści z Halle. Jednak ich charaktery były całkowicie różne. Głęboka wiara Schultza promieniowała cierpliwością, pokorą i ofiarnością. Był aż do przesady ostrożny i silnie związany z kościołem luteranckim. Liberda był złotoustym kaznodzieją, w swojej gorliwości często niecierpliwy, bezpośredni, a jego duże wymagania często przerastały możliwości. Także on był luteraninem, ale do nieluteranckich problemów czeskich emigrantów podchodził bez oporów. Obaj kaznodzieje potrafili zjednać sobie emigrantów. Czeskie społeczności wierzących, które pod ich przewodnictwem powstały w Hennersdorfie i w Gerlachsheimie, pobudzały dążenia tajnych niekatolików, by przyłączyć się do nich. Ubóstwo i nędza, czekające na niekatolików również w Łużycach, nie mogły ich od tego powstrzymać.

Praca kaznodziejów wśród czeskich emigrantów, mimo obustronnej gotowości i gorliwości, nie była łatwa. Niektórzy niemieccy pastory luteranscy osiemnastego wieku twierdzili, że pierwsi emigranci po bitwie pod Białą Górą byli zupełnie inni niż ci, którzy do Łużyc przyszli później. Wygnańcy w 17 wieku byli podobno cisi, ulegli i posłuszni, podczas gdy Czesi w 18 wieku byli uparci, domagali się specjalnych praw i niewystarczająco respektowali władzę świecką oraz luteranckiego pastora. Takie zastrzeżenia nie są całkowicie bezpodstawne. Historycy marksistowscy mieliby tutaj na podorędziu uzasadnienie socjalne. Społeczny rozwój czeskiej wsi, z której pochodziła większość emigrantów w 18 stuleciu, na pewno zostawił na nich swoje piętno. Lecz trzeba także mieć świadomość tego, że pierwsi wygnańcy po bitwie pod Białą Górą pochodzili z miejscowych zborów ewangelickich, a na obczyźnie włączali się do mniej-więcej podobnego życia zborowego. Emigranci w 18 wieku mieli natomiast za sobą tylko niebezpieczne lata tajnych spotkań bez jakiegokolwiek przewodnictwa duchowego. Ani oni, ani ich rodzice nigdy nie zaznajomili się z życiem zborowym. Stawali przed Bogiem jak gdyby na swoją własną odpowiedzialność. Pragnęli słuchać rozważań Pisma Świętego, szanowali

kaznodziejów i pozwalali się im prowadzić. Chętnie przyjmowali to, co przekazywała Biblia, lecz poza tym skrupulatnie trzymali się swoich tradycji. Odpowiedzialności za swoje życie duchowe nie byli skłonni przekazać nawet kaznodziejom, a tym bardziej nie zwierzchności świeckiej.

Ani Liberda, ani Schultz na emigrantów w Łużycach nie narzekali. Schultz napisał o nich: „Ujmowali mnie swoją niezwykłą miłością i słuchali mnie jak dzieci ojca”. Kaznodzieja Macher, którego przydzielono emigrantom w Berlinie, również poświadczał ich chrześcijańskie życie. Miał jednak z nimi znacznie więcej problemów i nie zdobył ich zaufania, mimo że miał względem nich jak najlepsze zamiary. Był surowym legalistą i niecierpliwym luteraninem, nie biorącym pod uwagę czeskich tradycji. Emigranci go odrzucili, chociaż sami ubolewali nad swoim stosunkiem do Machera. Macher często notował w swoim dzienniku, że odwiedził go ten lub ów emigrant, aby go przeprosić np. za okazywaną niechęć, ale trwała harmonia między nim a Czechami nigdy nie nastąpiła. Kaznodzieja Blanický, który wraz z wygnańcami przeżył lata utrapień w Münsterbergu, gdzie ponadto pruscy urzędnicy starali się wtłoczyć Czechów - wbrew ich woli - w szeregi luteran, charakteryzował ich jako „naród, któremu natura, przez niedopatrzenie, wcisnęła cechy upartych choleryków, którzy - jak wiadomo - niechętnie ustępują. W jednej chwili potrafią żywiołowo okazywać swoją miłość, a zaraz potem silną nienawiść. Łatwiej ich przez nieostrożność urazić, niż przez świadome działanie udobruchać. Jednakże zasługują na podziw, ponieważ w końcu przyznają się do swoich błędów i podadzą rękę na zgodę. Człowiek musi mieć tylko dużo czasu i cierpliwości, by tak długo czekać”. Swoją informację o emigrantach Blanický napisał dopiero po rozstaniu się z nimi. Na pewno miał wiele powodów do goryczy. On jednak podziwiał ich gorliwą wiarę, o czym w swoich wspomnieniach kilkakrotnie z uznaniem pisze.

Mimo wszelkich ludzkich niedoskonałości u wygnańców, pierwsze miejsce w ich życiu zajmowało usiłowanie bycia posłusznym Bogu. Poświadczały to zgodnie wszyscy ich przyjaciele i krytycy, bez względu na to, czy nazywali ich „ludem Bożym” (pietyści z Halle), czy ludem „nieposkromionym” i „żałosnym”, który musi się jeszcze wiele uczyć (opiekunowie z Herrnhutu), czy też narodem „twardogłowym” (pod tym względem byli zgodni ortodoksyjni luteranie, opiekunowie z Herrnhutu i reformowani). Pragnienie emigrantów, by nauczyć się poznawać wolę Bożą, było bezgraniczne i wszyscy emigracyjni kaznodzieje mówili o czterech do siedmiu nabożeństwach w niedzielę, o które emigranci usilnie prosili i w pełnej liczbie na nie uczęszczali. Także w dni powszednie gromadzili się wokół swoich kaznodziejów, a prócz tego pielęgnowali pobożność w mniejszych grupach w domach, a podczas przędzenia i tkania słuchali czytania tekstów biblijnych i śpiewali psalmy. To, że upór prowadził ich czasem w ślepią uliczkę i że czasami niejednego zwiodło pragnienie zarobienia więcej pieniędzy, stanowi zupełnie inny, interesujący rozdział. W zasadzie można jednak powiedzieć, iż przynajmniej w pierwszym pokoleniu z tymi słabościami dzielnie się potykali i nie zapominali, dlaczego udali się na obczyznę. Macher zanotował w swoim dzienniku, że przyszedł do niego jeden emigrant i oddał mu pieniądze, który otrzymał wraz z innymi emigrantami jako wsparcie w biedzie. Gniotło go sumienie, gdyż nie był w tak złej sytuacji jak ci najbiedniejsi. Inny emigrant przyszedł i dał kaznodziei dla chorych współwyznawców kilka talarów, które zarobił ciężką pracą i zaoszczędził. Cieszył się nimi, ale jednocześnie zaczął się obawiać, że pieniądze staną się dla niego bożyszczem. Dlatego raczej się ich pozbył.

Stratę majątku i ojcowizny, utratę krewnych, niebezpieczną podróż, ryzyko zaczynania od początku, często również śmierć najbliższych jako następstwo trudów podróży - na to wszystko wygnańcy świadomie się godzili decydując się na emigrację, żeby tylko uzyskać dla siebie i

swoich dzieci wolność sumienia, bez której służba Bogu nie jest możliwa. Tu jednak narzuca się pytanie, czy później swojej decyzji nie żałowali?

Tęsknotę za ojcowizną, za ziemią rodzinną, za przyjaciółmi dobrze znali. Ogarniała ich nieoczekiwane wbrew ich woli i wbrew racjom rozumowym. Przede wszystkim rodziny rozdzielone przez emigrację cierpiały z powodu tęsknoty.

Liczne rodziny ulegały rozproszeniu podczas nieudanej ucieczki. Mężczyznom łatwiej udawało się umknąć przed prześladowcami lub też dzięki fortelom lub sposobom uciec z więzienia. Kobiety - matki, często ciężarne, po schwytaniu zwykle spędzały dłuższy czas w więzieniu, a jeśli męki więzienne przeżyły, z utęsknieniem czekały, aż mąż-emigrant po nie przyjdzie. Jeśli jednak rodzicom odebrano dzieci i dano je na wychowanie w odległe strony do obcych rodzin, odszukanie i połączenie się rodziny nie było łatwe.

Czasami żony wbrew swemu sumieniu odchodziły od mężów, a mężowie emigrowali wbrew woli żon. Były to decyzje dobrowolne, ale nie chroniły przed tęsknotą i pragnieniem połączenia się z rodziną. Jeśli emigrant miał żonę lub emigrantka męża w Czechach, nie ustalali oni w próbach ocalenia duszy współmałżonka mimo emigracji.

Jan Liška bezskutecznie prosił swoją żonę, żeby emigrowała wraz z nim. Odszedł więc sam, a w Czechach oprócz żony zostawił ośmioro dzieci. Mimo wszelkich usiłowań nawet z emigracji nie udało mu się przekonać żony, żeby powędrowała za nim. Z dorosłych dzieci tylko jeden syn poszedł w ślady ojca.

Jednak żony, które emigrowały tylko dlatego, żeby nie utracić mężów, znosiły wygnanie szczególnie ciężko. Matka Justyny Vejprachtickiej z Cermnej po rocznej emigracji w Berlinie zostawiła męża i dwie małe córeczki i wróciła do Czech. Nie wiemy, jak się jej w Czechach wiodło. Starsza córka, Justyna, wówczas w 1743 roku ośmioletnia, opowiadała później: „Mnie to w tym czasie bardzo gnębiło i często w samotności ze łzami prosiłam Zbawcę, żeby naszą mamę do nas przyprowadził, w czym zostałam wysłuchana i ona znów po czterech tygodniach wróciła”. Dorosłe dzieci, które opuściły swoich rodziców, w tajemnicy odwiedzały domy rodzinne mając poczucie wielorakiej odpowiedzialności. Poprzerywanie więzów rodzinnych i opuszczenie ziemi rodzinnej było w 18 wieku jeszcze trudniejsze niż dzisiaj. Przecież członkowie rodziny byli skazani wyłącznie na wzajemną pomoc rodzinną w ramach szeroko rozumianego pokrewieństwa. Innych zabezpieczeń socjalnych nie było.

Katarzyna Krejčovská, z domu Spálená, mając 26 lat emigrowała ze swego miejsca urodzenia w okolicach Kouřima do Żytawy, gdzie wkrótce ciężko zachorowała. Nic dziwnego. W jej życiorysie napisano: „Mieszkała w izbie, w której nie było ogrzewania. W czasie srogiej zimy ściany pokrywał szron. Jej łóżkiem była ława, jedna suknia służyła za pościel, drugą się przykrywała, a gorset kładła pod głowę”. Ciężka choroba i nędzne warunki życiowe nie zmieniły woli Katarzyny, by pozostać na emigracji. Wręcz przeciwnie. „Kiedy ona zaczęła wracać do zdrowia, powiedziała mu (kaznodziei Vaňkovi), że chce znowu iść do Czech i wyprowadzić stamtąd swoich krewnych [...] Szczęśliwie dotarła do swoich rodziców, ale została zdradzona i wtrącona do więzienia. Stamtąd często prowadzono ją na przesłuchania do księży. Oni ją okrutnie męczyli obmowami, grozili jej i bili [...] w końcu zwolniona wróciła do swoich rodziców. Służyła im aż do ich śmierci...”. Rodzice zmarli rok po jej zwolnieniu z więzienia. „A kiedy ona wraz z braćmi i siostrami zarówno ojca, jak i matkę na swoich ramionach pomogła zanieść do grobu, ludzie poradzili jej, aby teraz, kiedy już zrobiła wszystko, co było możliwe, raczej znowu z Czech wyszła [...] Ona więc wyszła i szczęśliwie dotarła do Hennersdorfu. Po pewnym czasie trzykrotnie wracała do Czech i wyprowadziła swego brata Wacława oraz dwie siostry. Wtedy znowu przeszła nowe doświadczenie życiowe. Panował bowiem wówczas głód w

ziemi saskiej, toteż nie mogli oni dostać żadnego mieszkania i nocowali pod gołym niebem i rosą niebieską się orzeźwiać musieli [...]”.

Jeśli ktoś z członków rodziny pozostał w Czechach, dręczyła emigrantów tęsknota i poczucie odpowiedzialności za fizyczną i duchową sytuację krewnych pozostawionych w ojczyźnie.

Jedną z najważniejszych przyczyn tęsknoty za utraconymi stronami rodzinnymi było jednak rozczarowanie warunkami życia duchowego i stosunkami kościelnymi na obczyźnie.

Ci, którzy emigrowali do Łużyc, liczyli się z tym, że znajdą się wśród ewangelików. O ewangelikach mieli swoje wyidealizowane wyobrażenia. Wystarczyło kilka dni, żeby się przekonać, iż rzeczywistość jest zupełnie inna. Niemieccy protestanci wydawali się emigrantom bezbożnikami.

Kaznodzieja Schultz pisał (w marcu 1737 roku) do Halle o jednej wdowie, która z ważnych powodów musiała przenieść się z Gerlachsheimu do Berlina. Przez trzy dni z płaczem modliła się, żeby w Berlinie nie znalazła się znów między tak bezbożnymi ludźmi, jacy byli w Gerlachsheimie. Miała na myśli tamtejszych Niemców. Jednakże trzeciego dnia zmarła jeszcze w Gerlachsheimie i dzięki temu uniknęła berlińskiego rozczarowania.

W tym samym czasie kaznodzieja Macher opisywał z Berlina podobny przypadek chorej kobiety, którą właśnie odwiedził i którą tak zaniepokoiło i zwiódło bezbożne zachowanie Niemców, że chciała wracać do Czech.

Jeśli chodzi o stosunki między samymi emigrantami, to w pierwszej połowie 18 wieku było tylko kilka krótkich okresów, w których warunki życia duchowego sprzyjały emigrantom, a w ich społecznościach zborowych nie występowały zasadnicze sprzeczności. Dotyczy to przede wszystkim wspomnianych już zborów w Hennersdorfie kierowanego przez Liberdę i w Gerlachsheimie przez Schultza. Obaj duchowni cieszyli się uznanym autorytetem, obaj rozumieali dążenie emigrantów do samokształcenia biblijnego, obaj potrafili zbliżyć się do nich także w swojej działalności duszpasterskiej. Czescy emigranci potrzebowali autorytetu, poszukiwali autorytetu i w swoim pragnieniu samokształcenia biblijnego chętnie się mu poddawali. Nie pozwalali się jednak do niczego zmuszać. Ten, kto niecierpliwie próbował zmuszać ich do czegokolwiek, tracił swój autorytet. Tam, gdzie uchodźcy nie znaleźli możliwego do przyjęcia przewodnictwa duchowego, dochodziło między nimi do tarć na tle różnicy poglądów. Trudność w zorientowaniu się w niemieckich stosunkach wewnątrzkościelnych sprzeczności te zaostrzała. Wyidealizowane wyobrażenia o życiu bogobojnym wśród społeczności wierzących rozplywały się. Utrata tych iluzji stanowiła olbrzymie rozczarowanie, a czasami była powodem powrotu do ziemi ojczystej.

Majątek pozostawiony w ojczyźnie także był dla emigrantów swego rodzaju „pokusą”. Większość emigrantów nie należała w Czechach do ludzi bogatych. Z dwustu wygnańców dziewięciu mówiło o tym, że pochodzili z rodzin zamożnych. Większość wywodziła się z przeciętnych warunków majątkowych. Tylko pięciu na dwustu przyznało, że urodzili się w nędzy, a trzech opisywało, że ich rodziny popadły w nędzę po śmierci ojca. Trzy rodziny zbiedniały po zabraniu im wszelkiego dobytku z powodu udowodnionego braku przynależności do kościoła katolickiego.

Karol Šrámek, wolny rolnik z ziemi hradeckiej (Hradec Králové) zostawił w gospodarstwie sześć krów i sześć koni oraz obsiane pole - o łącznej wartości 800 talarów (wyemigrował wiosną 1738 roku). Lecz nawet przeciętna, skromna sytuacja majątkowa czeskich chłopów pańszczyźnianych wydawała się cierpiącym nędzę uciekinierom, gnieźdzącym się po 15, a nawet 25 osób w jednej izbie, czymś podobnym do utraconego raj. Kaznodzieja Kaphalides w Hennersdorfie wyraził to następująco: „Kusiciel występuje w ich myślach i fantazjach: popatrz, tam wszystko zostawiłeś,

tutaj nie masz co włożyć do ust. Jak chcesz przeżyć tylko z Ewangelią? Popatrz, jesteś głodny, spragniony i nagi! Gdybyś był pozostał w Ojczyźnie...”

Judycie Fialovej w Gerlachsheimie „placki z otrąb dość dobrze smakowały”, podczas gdy Waclaw Němec, kiedy (w 1733 roku) po pełnej trudów drodze dotarł szczęśliwie do Gelachsheimu, znosił nędzę bardzo ciężko: „Musiałem praść len, do czego nie byłem nawykły, przy czym najlepszą potrawą było trochę zupy z mąki grochowej, toteż początkowo myślałem, że tego nie wytrzymam, a jeden z mojej czeladzi rzeczywiście wrócił”.

Głód i chłód pobudzały do myślenia o powrocie.

Zimą 1736/37, przede wszystkim na Śląsku, gdzie już przed wojnami śląskimi zatrzymywali się rozproszeni czescy emigranci, słychać było narzekania głodujących. Podobno rdzenni Ślązacy udawali się na Morawy i na Węgry, żeby ratować swoje życie. Czeski emigracyjny kaznodzieja Macher opisał w lutym 1737 roku w swoim dzienniku spotkanie z kobietą, która z dziećmi i mężem przybyła ze Śląska do Berlina. Jej mąż pozwolił się zwerbować do wojska - znaczyło to w praktyce, że ojciec wyrzekł się rodziny i sprzedał się do służby wojskowej, żeby jego żona i dzieci miały co jeść. Do tej informacji Macher dodał zwięzłą uwagę, że ten ofiarny człowiek w okresie panującej powszechnie nędzy otrzymał od werbownika tylko 400 złotych, chociaż przy swoim wroście w normalnych warunkach powinien otrzymać trzy razy więcej.

Na Wielkanoc 1737 roku dotarła do Halle następująca informacja: „O Czechach mogę powiedzieć, że ci przychodzą w dużej liczbie, ale w największej nędzy i biedzie do Berlina, a to, co ze sobą przywożą, to najczęściej dwukołowy wóz pełny nagich dzieci, co najwyżej okrytych starymi szmatami. Niech Bóg zmiłuje się nad tym zubożałymi ludźmi i nad naszą ziemią, pełną biedy i nędzy. Jeśli Bóg dopuści w tym roku nieurodzaj, wielu ludzi będzie musiało umrzeć z głodu”.

Warunki w śląskim Münsterbergu w latach czterdziestych są znane: emigranci pełnych siedem lat czekali tu w biedzie i chorobach na spełnienie królewskiej obietnicy. W dodatku nękało ich ciągle powracające niebezpieczeństwo wojny.

Kaznodzieja Blanický w swoich notatkach opowiada o jednym niezwykłym wydarzeniu podczas drugiej wojny śląskiej. Austriackie wojska zajęły 7 czerwca 1745 roku Münsterberg. Generał (Festetitz?) wjechał do miasta, zsiadł z konia, a jego pierwsze pytania zadane jeszcze na ulicy przedstawicielom miasta dotyczyły czeskich emigrantów: kim są, jak się zachowują, jakie są ich nabożeństwa. Rajca, który na te pytania odpowiadał, nie sprzyjał emigrantom. Opisywał ich jako biednych, leniwych kacerzy, do których miasto dopłaca. Wtedy generał polecił, by przyniesiono mu kilka czeskich książek z mieszkania ich nieobecnego kaznodziei. Przyniesiono mu Biblię, katechizm i śpiewnik. Nieprzyjaciele spieszyli się, by szerzyć wśród emigrantów przerażające wieści, iż będą zabrani do niewoli austriackiej. Tymczasem generał wezwał przedstawicieli czeskiego zboru i pytał o broń, którą podobno ukrywają. Zarządził dokładną rewizję czeskich domostw. Wprawdzie znaleziono tylko trzy zardzewiałe strzelby, które emigranci przywieźli ze sobą z Czech, ale przerażenie wśród Czechów było ogromne. Nagle jednak wydarzenia przybrały nieoczekiwany obrót: generał zwrócił swoją groźną niechęć przeciw fałszywym donosicielom, według których emigranci mieli posiadać 2000 strzelb. Pochwalił czeskie książki, a w końcu zaproponował Czechom, by raczej opuścili Münsterberg i udali się do Siedmiogrodu. Podobno sam był ewangelikiem. Niektórzy jego żołnierze, Słowacy, rozmawiali z Czechami i ze współczuciem rozdawali wśród emigrantów swoje pieniądze. Także sam generał w końcu rozmawiał z Czechami po słowacku, co dla emigrantów w niemieckim mieście było również miłym i wzruszającym przeżyciem.

Nie rozumienie przez Czechów języka niemieckiego było oczywiście również jedną z przyczyn tęsknoty za ojczyzną. Emigranci - z małymi wyjątkami - nie znali niemieckiego. Dlatego również z taką determinacją czekali na obiecane kolonie czeskie na Śląsku. Wypierani z miasta Münsterberg, niektórzy zmierzali w kierunku polskich granic. W Polsce w połowie 18 wieku nikt oczywiście nie chciał przyjąć odpowiedzialności za nowy napływ czeskich emigrantów. Ewangelicka szlachta na obszarach przygranicznych, podobnie jak kierownictwo Jednoty w Lesznie, radzili Czechom, by pozostali na terytorium Prus. Wprawdzie Jednota w Lesznie ordynowała czeskiego duchownego Blanickiego w Münsterbergu, na żądanie emigrantów skierowała do Berlina duchownego Elsnera, a do Tabora duchownego Kałuskiego, ale Czeskie zbory nie mogły stać się częścią Jednoty, mimo że sobie tego życzyły. Pruskie urzędy nawet nie musiały się temu życzeniu przeciwstawiać, ponieważ polska Jednota sama tego nie chciała, gdyż utrudniłoby jej to życie w Polsce.

Czescy emigranci byli więc zmuszeni pozostać wśród Niemców i śląskich Polaków i podporządkować się pruskim urządóm kościelnym. Ich pierwsi duchowni w Łużycach, Berlinie i na Śląsku mówili - niemal bez wyjątku - najpierw tylko po polsku. Z pochodzenia byli Ślązakami lub Polakami. Również prawnuk Komeńskiego, Samuel Figulus, który przyszedł do Husinca po Blanickim, mówił tylko po polsku, a czeskiego musiał się uczyć. Czescy wygnańcy byli zadowoleni, że polskich duchownych jako-tako rozumieją, toteż nie należy się dziwić, że uradowała ich bogata czeszczyna Blanickiego. (Blanicki oczywiście mówił również po polsku, spędził przecież dwa lata w klasztorze w Częstochowie). Ponadto z Blanickim wygnańcy mogli zupełnie inaczej niż z duchownymi pochodzącymi ze środowisk polskich rozmawiać o czeskiej przeszłości. Blanicki miał wiele zalet, ale brak mu było żarliwości uczuciowej, której wielu emigrantów nie znajdowało także u duchownych z polskiej Jednoty i dlatego zwracało się w stronę Jednoty herrnhutskiej. Jednota ta przyciągała wygnańców przede wszystkim rygorystycznym zdecydowaniem podporządkowania całego życia człowieka Słowu Bożemu. Było to również życzeniem wygnańców. Prócz tego Jednota z Herrnhutu powoływała się na dziedzictwo czeskiej Jednoty Braterskiej, podobnie jak czescy wygnańcy. Oczywiście z bliska konfrontacja Jednoty Zinzendorfa z czeską tradycją i twardogłowymi Czechami była o wiele bardziej złożona.

Wspólne korzystanie z dziedzictwa czeskiej reformacji i świadomość przynależności językowej były czynnikami łączącymi wygnańców na obczyźnie, a jednocześnie określały ich stosunek do kraju, który opuścili. Prośby za ojczyznę były ważnym elementem ich modlitw. Jednakże stosunek emigrantów do czeskiej ojczyzny był przede wszystkim stosunkiem do ziemi rodzinnej: wspomnienia obracały się wokół opuszczonych domów, opuszczonych przyjaciół, opuszczonej okolicy.

Łączność emigrantów z ziemią rodzinną utrzymywali przede wszystkim kaznodzieje-predykanci. O Józefie Mojżišu zanotowano: „On nie tyle szukał swego zbawienia, co dostał chęć do Czech iść i również innym opowiadać nieco o zbawieniu, dzięki czemu również inni przebudzeni zostali”. Zapłacił za to więzieniem i poborem do wojska. Lecz również w wojsku miał sposobność przekonywać swoich kolegów o konieczności czytania Biblii i kierowania się tym, co się w niej znajduje. Co najmniej jeden z jego wojskowych przyjaciół pojawił się później w czeskim emigracyjnym zborze w Berlinie.

Wacław Němec również miewał „wewnętrzne pragnienie, żebym się w drogę do Czech udał, żebym moim krajanom w Czechach mógł coś o Zbawicielu powiedzieć”. Podobny przymus wewnętrzny odczuwali Jansa, Anderle, Vejdělek, Vejprachtický, Krystek, Reiman, Pěniček, Jelínek, Janoušek - moglibyśmy wymienić jeszcze wiele nazwisk. Predykanom groziło w

Czechach więzienie, a nawet utrata życia. Nowe zwierzchnictwa w Łużycach i na Śląsku starały się wszystkimi możliwymi sposobami ograniczyć kaznodziejską działalność emigrantów i miały ku temu odpowiednie powody polityczne. Jednakże w tej sprawie emigranci byli nieustępliwi. Z ich misjonarskimi dążeniami trudno było walczyć.

Kontakty rodzinne przez granicę i działalność kaznodziei-predykantów stanowiły dla emigrantów przekonujący dowód, żeby się zbyt nie oddalać od granic. Z Łużyc do Berlina udali się głównie dlatego, że władze zabraniały im chodzenia do Czech. Z Berlina do Czech było dość daleko, lecz predykanci nie bali się tej drogi. Münsterberg był dogodnym miejscem. Nawet w czasie największej w Münsterbergu biedy dochodziły stamtąd informacje, że mimo wszelkich cierpień właśnie z powodu bliskości granicy emigranci z ociąganiem przyjmowali propozycje osiedlania się koło Berlina, a tym bardziej gdzieś na Pomorzu. Wielu wprawdzie odeszło z Münsterbergu do Berlina (najwięcej wskutek rozczarowania poziomem duchowym czeskiego zboru w Münsterbergu), lecz duża część pozostała. Kiedy po wielu wyrzeczeniach Czesi w Münsterbergu mogli już wreszcie pomyśleć o kupieniu ziemi, wyszukali odpowiednie miejsce w Hasicach niedaleko Kłodzka. Jednakże wrocławski sejmik ziemski, aby zapobiec częstemu przekraczaniu granicy, nie wyraził zgody na kupno.

O kaznodziejskiej działalności uchodźców osiedlonych na Śląsku niewiele dotąd wiemy. Wiemy tylko, że granicę przekraczano i że Czesi na pruskim Śląsku modlili się za ziemie czeskie.

Kiedy na ziemiach czeskich ogłoszono patent tolerancyjny, uczucie tęsknoty za ojczyzną wśród emigrantów było znacznie mniejsze. W emigranckich wsiach żyła już druga i trzecia generacja, urodzona na Śląsku lub przybyła tam we wczesnym dzieciństwie. Synowie przejmowali gospodarstwa swoich ojców zakładane w nędzy i z natężeniem ostatnich sił. Nic dziwnego, że miejsca te darzyli sentymentem i nie decydowali się na opuszczenie ich, nawet gdyby otworzyły się bramy starej ojczyzny. Oznaczałoby to znów nowe i niepewne początki. Prócz tego wyznanie ewangelickie było w Czechach zaledwie tolerowane, co dla wolnych kolonistów na ziemiach pruskich nie było szczególnie pociągające. Dlatego nie zwracali się w tamtą stronę nawet ci synowie uchodźców, którzy dla swego utrzymania byli zmuszeni szukać nowej ziemi.

W końcu 18 wieku otworzyły się drogi na wschód, gdzie było w bród ziemi na dogodnych warunkach. Polska w tym czasie była pod zaborami Rosji, Prus i Austrii. Potomkowie czeskich emigrantów najpierw kupili ziemię w Zelowie, który wówczas - przez krótki czas - znajdował się na obszarze zarządzanym przez króla pruskiego. Mimo tego, iż wkrótce macierzyste kolonie na Śląsku i Zelów znów rozdzieliła granica, następne grupy Czechów przeprowadzały się w okolice Zelowa. W kolejnych pokoleniach przenosili się do Łodzi, Żyrardowa, później na Wołyń i na Ukrainę.

Czeskie kolonie na Śląsku i w Polsce były od siebie na tyle oddalone, że regularne wzajemne kontakty w ówczesnych warunkach nie były w wystarczającym stopniu możliwe. Osadzone w obcym środowisku zamykały się w sobie i prowadziły własne życie.

Dla potomków czeskich uchodźców obczyzna stała się ziemią ojczystą. Pierwotna ojczyzna została daleko. Wiedzieli o niej, mówili o niej, ale dla kolejnych pokoleń było rzeczą jasną, że nigdy jej nie zobaczą. Nie stanowiło to już dla nich tragedii. W starej ojczyźnie nie mieli ani krewnych, ani gospodarstw. Ich ziemia rodzinna była tam, gdzie się urodzili i wychowali. Jednak z ziemią czeską łączyła ich nadal tradycja reformacji i czeski język ojczysty. Narody, wśród których żyli i z którymi łączyło ich dwieście, sto pięćdziesiąt lub tylko osiemdziesiąt lat wspólnej

historii, oczywiście również wywarły na nich swoje piętno, które później znajdowało swoje odbicie w zmieniającym się stosunku do ziemi ojców.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej potomkowie czeskich wygnańców wracali do Czechosłowacji z różnymi odczuciami. Większość reemigrantów ze Śląska wracała zmuszona tylko przez nową sytuację polityczną. Tęsknili do tego, co musieli zostawić, a wielu z nich nawet nie miało pewności, czy powinni się czuć raczej Czechami lub też Niemcami. Silny nacisk germanizacyjny i fałszywa niemiecka duma zostawiły ślad na ich psychice. Natomiast liczni reemigranci z Polski, a zwłaszcza z Wołynia, wracali do ziemi ojców chętnie i pełni nadziei. Wszyscy reemigranci bez różnicy wspominali i do dzisiaj wspominają z miłością i wzruszeniem swoje miejsca urodzenia: swoje opuszczone ojcowizny, rozproszonych przyjaciół, wręcz intymną znajomość ziemi, na której żyło siedem generacji ich przodków.

W sierpniu 1995 roku reemigranci z Husinca urządzili w Trzech Siekierach małą uroczystość wspomnieniową dla uczczenia swojego powrotu do Czech. Z tej okazji uświadomiliśmy sobie pewne dane liczbowe z historii czeskiej emigracji, zasługujące na to, by je również tutaj powtórzyć.

W okresie czeskiej kontrreformacji po bitwie pod Białą Górą odeszły z Czech dziesiątki tysięcy wygnańców (mówi się o 30 - 50 tysiącach). Przeważająca większość potomków tych wygnańców wtopiła się z czasem w nowe środowisko. Jest jednak rzeczą godną uwagi, że z owych dziesiątek tysięcy wygnańców Pan Bóg jak gdyby wydzielił około 2000 i osiedlił ich w kilku koloniach na Śląsku. Z upływem lat potomkowie tych wygnańców zakładali nowe kolonie na Śląsku, w Polsce, na Wołyniu i na Ukrainie. Przez dwieście lat kolonie czeskich wygnańców żyły swoim własnym, specyficznym życiem, aby przypominać otoczeniu i swojej starej ojczyźnie bezsens ludzkiej nietolerancji.

Po drugiej wojnie światowej można było liczyć się z około 20 000 potencjalnych reemigrantów, którzy byli potomkami tych wybranych dwóch tysięcy. Mniej-więcej połowa z nich (oceniłam, że 10 000) wróciła do ziemi swoich przodków.

Jako pewne zadośćuczynienie przyjęlibyśmy zapewne fakt, gdyby wszyscy potomkowie czeskich wygnańców, świadomi swojego pochodzenia, w końcu powrócili do kraju, z którego ich ojcowie zostali wypędzeni. Z drugiej strony właściwie byłoby szkoda, gdyby takie zamknięcie koła historii spowodowało zanik żywej wygnańczej obecności.

Fakt, że tu, w Zelowie, pozostała do dzisiaj część potomków czeskich wygnańców, mająca tutaj żywy zbór, nie jest oczywisty. Uważam go za przejaw Łaski Bożej. Zbór zelowski zapewne miał i ma swoje specjalne, przez Boga powierzone zadanie, zarówno w czeskiej, jak i w polskiej historii protestantyzmu.

Prof. dr Edita Štěřiková
Przekład Jerzy Swoboda